Warszawa 23 Grudnia 1895 r. Nr. 12

Proletaryusze wszystkich krajów, łączcie się!

# ROBOTNIK

ORGAN POLSKIEJ PARTYI SOCYALISTYCZNEJ

Towarzysze, upraszamy Was o rozpowszechnianie „Robotnika“.

## PRZEJAWY NIEWOLNICTWA

JEDNĄ z najwstrętniejszych cech kapitalizmu u nas jest brutalne, poniżające godność ludzką obejście się fabrykantów i ich urzędników z robotnikami. Korzystając ze swej przewagi ekonomicznej, wielu z tych panów wprowadza do swych fabryk i warsztatów porządki, mogące istnieć tylko w społeczeństwie niewolniczem. Od kobiety - robotnicy żądają, by na ich usługi oddawała swe ciało, zmuszają cierpliwie wysłuchiwać połajanki, znosić bicie, każą czapkować przed sobą. Słowem dążą do tego, by przerobić robotnika na niewolnika już nie kapitału, lecz kapitalisty samego.

Oto naprzykład wiązanka faktów, doskonale przedstawiających tę właśnie stronę życia robotniczego. Zawiercie: «Na dziesiątki można liczyć ofiary jego (Maksa Loewenstama — dyrygenta tkalni), dużo niewinnych, bo która się wzbrania, to podstępnym sposobem do mieszkania uwodził i gwałcił, jak dowód na 15-letniej Katarzynie» (patrz Nr. 7). Pabjanice: «Robotnice podlegają rewizyom lekarskim» (Nr. 7). W fabryce «Wulkan» «kobiety narażone są na brutalne i bezwstydne obejście ze strony majstrów, czyhających szczególnie na młode i ładne dziewczęta; opornym grożą wydaleniem z fabryki» (Nr. 10) itd. itd.

O biciu i wymyślaniu korespondenci nasi często się ograniczają krótkiem, lecz wymownem oświadczeniem: «jest na porządku dziennym»! Ale i pojedyńczych faktów opisanych nie brak. W Zawierciu «obermajster Seidenman obił Bronisława M. za to, że ten nie czapkował przed nim» (Nr. 7). «Na kopalni «Jan» sztygar Gorgoń pobił i fatalnie poranił robotnika Chojnowskiego» (Nr. 10). W Pabjanicach «Lajpold, majster, młodą 18-letnią dziewczynę, Hanzel, uderzył w twarz tak silnie, że wybił jej oko i nadwerężył mózg, wskutek czego po kilku dniach umarła» (Nr. 8). W Łodzi w fabryce Ramisza robotnikowi nie wolno w kantorze odsunąć się od drzwi, inaczej czeka go przywitanie «weiter Luder»! (dalej draniu) itd. itd.

Moglibyśmy jeszcze sporo podobnych faktów naliczyć, lecz chyba dosyć i tych dla stwierdzenia strasznych nadużyć w zakładach przemysłowych, dla wykazania ogromu poniżenia, w którem pozostaje klasa robotnicza. Fakty te świadczą wymownie, że fabrykanci i ich urzędnicy nie widzą czy też nie chcą widzieć w robotniku człowieka myślącego, mającego poczucie własnej godności.

Bo i niepotrzebny im jest człowiek! Dla nich lepszym jest robotnik - maszyna, proletaryusz - niewolnik. Bity, zahukany, przyzwyczajony do poniewierki robotnik trudniej dochodzi do świadomości swych interesów, więc nie tak skorym jest do oporu. Jeżeli zaś okazuje opór, to nie tak silny, nie tak świadomy, a zatem i nie tak niebezpieczny. Jak każda kropla potu na czole pracującego w fabryce lub warsztacie przeistacza się w bryłkę złota dla jego wyzyskiwacza, tak zarówno i każde poniżenie robotnika, każde pokornie przeniesione uderzenie lub połajanka powiększa pewność zysków kapitalisty.

Poniżenie robotnika tylko pewniej go wikła w sieci wyzysku kapitalistycznego, jest ono więc wygodnem dla klas posiadających. Jest też ono pożądanem i dla drugiego śmiertelnego wroga klasy robotniczej — caratu. Upodlenie, ciemnota, nędza mas pracujących — to główna podstawa carskiego panowania. Przeciwnie, świadomość, poczucie godności osobistej w masach pracujących — to najstraszniejsi jego nieprzyjaciele.

Nic więc dziwnego, że urzędnictwo carskie, gospodarujące w naszym kraju, obojętnie zamyka oczy na krzyczące nadużycia w fabrykach i warsztatach, a jeśli je otwiera, to dopiero wtedy, gdy spodziewa się zagarnąć jaką łapówkę. Zresztą ogromna większość tej zgrai nie dorasta często wcale do pojęć o godności człowieczej. Wyrośli w społeczeństwie, którem od wieków kieruje ukaz i knut carski, wycho-

wani w tradycyach «czynopoczytanja» urzędnicy ci nieraz nie rozumieją, że policzek lub grubiaństwo może obrazić kogo? — jakiegoś tam robotnika!

Już nieraz w przypiskach redakcyjnych przy omawianiu przez naszych korespondentów brutalności władz fabrycznych zwracaliśmy uwagę naszych czytelników na konieczność walki z temi nadużyciami, z tą poniewierką godności osobistej robotnika. W położeniu klasy robotniczej nic się nie zmieni, dopóki ona sama nie weźmie się do jego poprawy. Nikt nigdy o losie robotnika nie pomyśli, a na pochyłe drzewo i kozy skaczą. Jedynem wyjściem jest nieustanna walka w obronie swych praw i interesów.

Niewolnik jest niewolnikiem nietylko dlatego, że ma pana nad sobą, lecz i dlatego, że pana tego uznaje. To samo stosuje się i do obejścia władz fabrycznych z robotnikami. Jest ono brutalnem i obrażającem nie dlatego jedynie, że tak postępują ci panowie, lecz i z tej przyczyny, że robotnik na to pozwala.

Przytoczone wyżej a przejmujące nieraz zgrozą fakty z życia robotniczego nie mogłyby mieć miejsca, gdyby każden z takich Gorgoniów, Seidenmanów, Lajpoldów itp. wiedział, że go spotka zasłużona kara. Bezkarność tylko ośmiela i popycha tych panów do swobodnego przejawiania i nadal swych dzikich instynktów.

Nie możemy więc całkowicie na wrogów klasy robotniczej składać winy jej poniżenia. Część winy spada na nas samych. Przestępcą wobec sprawy robotniczej jest nietylko sprawca obrazy godności osobistej robotnika. Jest nim i ten, kto cierpliwie ją znosi, i ci, którzy spokojnie na to patrzą.

Niech w fabrykach, warsztatach i wszędzie, gdzie proletaryusz ugina się pod jarzmem wyzysku, zapanuje zasada, że na gwałt zadany robotnikowi gwałtem odpowiadać należy, że obraza jemu zadana nie może być puszczoną bezkarnie, a znikną z naszego kraju stosunki, cechujące epokę barbarzyństwa i niewoli.

## Z ROSYI

Ożywienie ruchu robotniczego odznacza ubiegły rok w Rosyi. Dotychczas wprawdzie przejawami tego ożywienia są jedynie liczniejsze, niż zwykle, strejki, lecz pamiętać należy, że wszędzie pierwszemi krokami klasy robotniczej były żywiołowe wybuchy niezadowolenia, pozbawione nieraz głębszej świadomości klasowej. Miejmy nadzieję, że i w Rosyi, jak w innych krajach, po tych pierwszych nastąpią drugie — pewniejsze kroki, że się wytworzy jedna organizacya rosyjska o tyle silna, że wiedzieć będą o niej i wrogowie i przyjaciele. Wtedy nareszcie będziemy mogli przywitać najpewniejszego naszego sprzymierzeńca w Rosyi — robotniczą partyę socyalistyczną.

Przechodzimy do podania wiadomości o strejkach tegorocznych.

1. Strejk w Jarosławiu wybuchł w końcu kwietnia. Robotnicy, górą 7.000 ludzi, porzucili pracę z powodu zniżenia im płacy przed upływem terminu umowy przez nową administracyę fabryki. Gubernator Fryde z kilkoma rotami żołnierzy stanął po stronie kapitału. Kazał on aresztować delegatów robotniczych, którzy przyszli do dyrektora dla pertraktacyi, a wojsko strzelało do zebranych robotników. Zabito 3, raniono 18. Strejk upadł. Aresztowano potem 200 robotników; 2.000 wyrzucono z fabryki i wydalono z Jarosławia. Car, jak o tem pisaliśmy w Nr. 9, wyraził swe podziękowanie «zuchom z pułku fanagorskiego» za «umiejętne i w swoim czasie użycie broni»!

2. Strejk w Kuskowie pod Moskwą. Robotnicy w liczbie 2.000 1-go czerwca zażądali od fabrykanta podwyższenia płacy. Fabrykant odmówił, wtedy robotnicy zaczęli rozbijać i burzyć zabudowania fabryczne i okoliczne szynki. Sprowadzono kozaków. Aresztowano 200 robotników. Strejk upadł.

3. Strejk w Tejkowie włodzimierskiej gubernii. Powody tego strejku nie są nam znane. Strejkowało 5.000 ludzi. Niewiadomo z jakiej przyczyny dyrektor fabryki strzelił do tłumu kilka razy z rewolweru. Wzburzyło to robotników, rozerwali go na kawały i zniszczyli kilka zabudowań fabrycznych. Sprowadzano wojsko, były aresztv.

4. Strejk w Moskwie w fabryce Prochorowa, liberała rosyjskiego. 22-go maja robotnicy zażądali podwyższenia płacy. Strejk trwał kilka dni, lecz w końcu wmieszała się w to policya. Według wskazówek właściciela fabryki aresztowano 70 strejkujących i strejk zakończył się przegraną robotników.

5. Strejk w handlu herbatą Popowa. W lipcu zastrejkowali tam, korzystając z nawału pracy, 270 robotników zajętych przy sortowaniu, ważeniu i opakowywaniu herbaty. Żądali oni podwyższenia płacy i wprowadzenia niektórych zmian w warunkach pracy. Zarząd odmówił ich żądaniom, porzucili więc oni robotę u Popowa, a że było wielkie ożywienie w handlu herbatą, z łatwością znaleźli zaraz zajęcie w innych miejscach. Po kilku jednak tygodniach, otrzymawszy obietnicę spełnienia swych żądań, robotnicy wrócili znowu do Popowa.

Oprócz wymienionych strejków w moskiewskim obwodzie fabrycznym były jeszcze strejki w Petersburgu: w fabryce tytoniu «Laferm», gdzie robotnice połamały maszyny i powyrzucały gilzy na ulicę, i w fabryce Torntona. Szczegółów tych strejków jeszcze nie mamy.

Jak widzimy, prawie we wszystkich strejkach rząd carski kładł na szalę zwycięstwa swą ciężką zbrojną łapę, by przechylić ją na stronę kapitalistów, czem w większości wypadków i należy tłomaczyć niepowodzenie strejkujących; przytem i sami oni swem zachowaniem się (niszczenie maszyn, zabudowań, szynków itp.) ułatwiali rządowi zbrojne mieszanie się do strejku.

Aresztowani w kwietniu 1894 r. otrzymali w tych dniach wyroki: Tiutczew i Mancewicz — 8 lat wschodniej Syberyi; Natanson, Jakowlew, Aleksandrowa, Faniukowa, Żiriakow, Leżawa, Gedeonowski — 5 lat wschodniej Syberyi; Troicka i Lwow — 3 lata archang. gub. Z wymienionych towarzysz Michał Mancewicz, b. członek «Proletaryatu», w 1887 r. był zesłany na 5 lat do Syberyi. Po powrocie z wygnania miał wzbroniony na zawsze pobyt w Królestwie i na Litwie. Nie przestał jednak służyć sprawie rewolucyi i na obczyźnie.

## KORESPONDENCYE

**W fabryce ram** Stanisława Malickiego (Nowosenatorska Nr. 5) mają robotnicy między innemi następujące prawa, ułożone samowolnie przez p. M. 1) W czasie pracy nie wolno rozmawiać, gwizdać, śpiewać itd. 2) W czasie pracy nie wolno oglądać się po za siebie i wogóle trzeba być zajętym li tylko swoją robotą. 3) Za wszystkie takie przestępstwa naznacza się karę 30 kop. Przytem M. odznacza się nadzwyczajną brutalnością w obejściu; np. jeżeli który z nas odchyli się na chwilę od warsztatu, aby wyprostować swój spracowany grzbiet, to M. wpada na «winowajcę» jak bomba, okłada go djabłami, opowiada o poczuciu ludzkości (!), o wdzięczności dla swego «chlebodawcy» itd. O i mamy za co być wdzięcznymi p. M. Pracujemy na dniówkę i, jeżeli kto, naorawszy się jak wół, zarobi, dajmy na to, 3 rs., to po odtrąceniu wszystkich kar i innych kombinacyi pan M. otrzyma 1 rubla. W ten sposób nasz «dobroczyńca», który kilka lat temu mieszkał w jednym pokoju, teraz mieszka w pięciu, żyje wygodnie i «z pomocą boską» zdążył już sobie cośkolwiek odłożyć na czarną godzinę.

Taki rodzaj przywłaszczania sobie nie swoich pieniędzy jest dość rozpowszechniony. Większość fabrykantów i majstrów pieniądze, otrzymane z zapłaconych przez robotników kar, chowają do własnej kieszeni i ci właśnie wynajdują najrozmaitsze kary (w rodzaju kar p. M.), aby w ten sposób powiększyć niemi «krwawo zapracowany» własny dobytek! Inspektorzy fabryczni mogliby zapobiedz takim nadużyciom, ale... od kogóż by w takim razie dostawali łapówki, dobre śniadanka itp. honorarya?!...

Pan M. wspólnie ze swoim subjektem Weisem, pełniącym zarazem obowiązki szpiega, postanowił, ażeby robotnicy na jego imieniny (17 listopada) ofiarowali mu swoją grupę fotograficzną. Weis przedstawił nam to, jako swój własny projekt, a my musieliśmy się zgodzić wiedząc, że ci, którzy by się nie zgodzili na ów podarunek, będą w krótkim czasie wydaleni; liczyć zaś na solidarność wszystkich pracujących nie mogliśmy. Oto w jaki sposób nasi «chlebodawcy» upiększają ściany swych salonów fotografiami «wdzięcznych pracujących».

* * *

**W piekarni mechanicznej** Kropielnickiego na Łesznie są następujące warunki pracy: Jeżeli wypada praca dzienna, to trwa ona mniej więcej 8 godzin, a jeżeli nocna, to 12 godzin z rzędu bez chwili odpoczynku i to przy 40 stopniach gorąca. Zmiana z pracy nocnej na dzienną i naodwrót następuje co tydzień i wtedy trzeba pracować 18 godzin z rzędu, t. j. po skończeniu się pracy dziennej zaraz następuje praca nocna. Przy nadchodzących świętach trzeba pracować 3 doby z rzędu. Po tak forsownej i nadludzkiej pracy robotnicy z trudnością dowlekają się do domu i przez całe 2 dni świąt śpią, a później znowu się wprzęgają do dawnego jarzma. Jak strasznie tak długa praca i przy tak wysokiej temperaturze oddziaływa na umysł i zdrowie robotników, dość popatrzeć na te wybladłe, wynędzniałe ofiary gospodarki kapitalistycznej, chodzące w swem jarzmie z apatycznym wyblakłym wzrokiem. Dodać należy, że ustęp jest oddalony od piekarni na kilkanaście kroków, przez co robotnik zimą narażony jest na utratę życia lub ciężką chorobę, będąc zmuszonym z takiego gorąca, jakie panuje w piekarni, odrazu się dostać na mróz, a ubierać się ciepło niema czasu.

Za tak ciężką i rujnującą pracę robotnicy otrzymują następującą płacę: Ten, który pracuje przy piecu, pobiera od 26 do 30 rs. miesięcznie i życie; wyrabiacz ciasta żytniego — 18 rs. i życie, a wyrabiacz ciasta pszennego — 12 rs. i życie. Na życie liczą sobie 3 rs. tygodniowo i każdy z robotników musi się stołować w fabryce, co dla żonatych jest wprost rujnującem, gdyż w jaki sposób jest on w stanie naprz. za 12 rs. miesięcznie wyżywić żonę i dzieci, zapłacić komorne, sprawić sobie i rodzinie ubranie i wystarczyć na wszystkie inne domowe potrzeby?!... Przytem jeżeli kto, naorawszy się 12 godzin w nocy, zaśpi i spóźni się na obiad na naznaczoną godzinę, to obiad przepadnie, choć zapłacić zań musi.

Warunki pracy u Kropielnickiego liczą się, w porównaniu z innemi piekarniami, jako nie złe; gdzieindziej pracują po 14 i 15 godzin dziennie, a płacę mają jeszcze niższą. Oto obrazek gospodarki kapitalistycznej!

* * *

**Z gazowni** na Czystem robotnicy, którzy tam pracowali po lat kilka i kilkanaście, dostali translokacyę do fabryki chemicznej, mieszczącej się tuż obok, i po niejakim czasie zostali wydaleni bez żadnego powodu. Działo się to w sposób następujący: Pp. zwierzchnicy widząc, że robotnicy zaczęli pracować nieco oględniej, postarali się (jako ludzie życzliwi, z dobrem sercem ku robotnikom!) przysporzyć roboty tyle, że pracujący nie był w stanie wydołać na czas oznaczony. Więc też niektórzy z robotników odezwali się, że tej roboty zadużo przypada na jednego człowieka, na co pp. zwierzchnicy odpowiedzieli, że «z chamami trzeba się obchodzić jak z psami», i poczęli obsypywać robotników gradem brutalnych słów; niektórzy z robotników otrzymali nawet uderzenia, w dodatku wszyscy ci zostali w krótkim czasie

usunięci z fabryki. Tak Skorupa otrzymał uderzenie od Zauera, najstarszego chemika, i po przerobieniu do fercentagu został wydalony. Józef Kusiński został wydalony za to, że po napaleniu pod kotłem, mając chwilę czasu wolnego, czytał gazetę i nie ukłonił się przechodzącemu urzędnikowi Nowickiemu; na wymyślania tego ostatniego odpowiedział on, że nie jest obowiązany za każdym razem kłaniać się, a czapki kupuje. Również samowolnie zostali wydaleni Włodarczyk i Wojciechowski. Majewicz upominał się o zapłacenie należnych mu kilku złotych. Gdy takowych nie otrzymał, poszedł do inspektora fabrycznego i opowiedział cały stan rzeczy, na co otrzymał od inspektora odpowiedź, że sam będzie u dyrektora fabryki, to się rozmówi. Po spędzonej mile pogadance p. inspektora z dyrektorem nastąpiło to, że Majewicz nie otrzymał zapłaty i w dodatku został wydalony. Obecnie pracuje w fabryce chemicznej tylko 12 robotników z płacą dzienną po 70 kop., 1 rs., 1 rs. 30 kop.

* * *

**W fabryce „Wulkan“** na Pradze majster Moritz dopuszcza się rażących nadużyć względem robotnic tam pracujących. Niedawno jedna z nich (zdaje się, Szkopek) zdrzymnęła się w nocy przy robocie. Moritz żelaznym garnkiem uderzył ją w głowę, tak że upadła zemdlona. Często po świstku (pracują od 6 rano do 7 wieczór) zatrzymuje robotnice przy pracy mówiąc, że kwadrans dłużej to wcale nic nie znaczy. Robotnice przez cały dzień muszą stać lub chodzić, przez co wszystkim nogi puchną w okropny sposób. Gdy się udają do fabrycznego lekarza Kryże, który bywa w fabryce raz na tydzień, ten często odsyła je bez lekarstwa mówiąc: «lekarstwa zabrakło, przyjdź za tydzień, to dostaniesz»!

Robotnicom dają braki na wypłatę, przyczem bez litości zdzierają, tak że za takie pieniądze mogłyby nabyć w składach zupełnie dobre naczynie. Ale brak pieniędzy i małe uświadomienie pozwala fabrykantom obdzierać biedne pracownice. Wogóle brak jakiegokolwiek uświadomienia wśród robotnic daje się fatalnie uczuwać. Gdy w fabryce mebli giętych zastrejkowały kobiety, to jedna ich połowa została przy pracy, mówiąc do strejkujących: «głupie, bieda was zmusi do tego, że same tu przyjdziecie i będziecie prosić o przyjęcie was do roboty»! Co się też i stało wskutek niesolidarnego zachowania się robotnic.

Majster Nowakowski, o którym była mowa w zeszłym numerze, został wydalony za kradzież. Przy obrywaniu cen robotnikom i innych szacherkach tak mu zasmakowały cudze rzeczy, że nawet towar zaczął wynosić z fabryki. Rzecz się wydała i pan Nowakowski wyleciał, a nam powiedziano, że jedzie on zagranicę do Wiednia! W wytłaczarni majster Daniel, jeżeli mu robotnik nie daje łapówek i nie wyprawia libacyi, to go stara się wygryść z fabryki, a o przyjęciu do roboty bez posmarowania łapy panu majstrowi to i mowy niema.

* * *

**Z Lubelskiego.** — Wpośród wyzyskiwaczy pracy robotników tak rolnych jak i fabrycznych powinien naczelne miejsce zajmować p. Rulikowski — potentat powiatu hrubieszowskiego, główny akcyonaryusz i administrator dwóch cukrowni: Poturzyn i Mircze oraz jeden z większych posiadaczy ziemskich. W majątkach swych zaprowadził on drukowane książeczki służbowe, obowiązujące parobków, w których dowolnie wpisuje się wysokość kary za różne przewinienia, naprz. uszkodzenie narzędzi pracy, opuszczenie dnia roboczego itp. Pod powyższe określenia podciągają się i wszelkie konieczne zużycia narzędzi, opuszczenie dnia z przyczyn usprawiedliwiających itd. Powaga drukowanego słowa dla niepiśmiennych po większej części parobków jest tak wielką, że chociaż odczuwają głęboko nadużycia ze strony dziedzica, z pokorą się jednak poddają nieludzkiemu wyzyskowi, nie szukając nigdzie sprawiedliwości. Zresztą dokąd po nią biedny chłop się uda, kiedy cała psiarnia niższych czynowników jest opłacaną przez Rulikowskiego, a z wyższymi żyje w przyjaznych stosunkach.

Takie położenie robotnika, w jakiem on się znajduje w cukrowniach p. Rulikowskiego, należy już wszędzie tylko do wspomnień historycznych. Spekuluje się tam nietylko na płacy robotnika, ale i na jego zdrowiu i życiu. Płaca jest tak niską, jaką może pobierać tylko zgłodniały najemnik galicyjski, bo stamtąd, t. j. z Galicyi werbuje p. Rulikowski robotników na czas kampanii za pośrednictwem żydków-faktorów, którzy przedewszystkiem zabierają papiery legitymacyjne od owych najemników i składają je u pryncypała, który je wydaje dopiero po skończeniu kampanii, uzależniając w ten sposób od siebie robotników. Pomieszczenie dla robotników jest wprost urągowiskiem dla wszelkich pojęć o hygienie i moralności. Brak ochronnych urządzeń w fabryce na każdym kroku naraża życie robotnika, lecz za to inspektor fabryczny stałą pobiera od Rulikowskiego pensyę.

Czysty dochód z fabryk Poturzyna i Mircza dwa razy przewyższa dochody innych cukrowni w kraju naszym.

Muszę tu zanotować jeszcze jedną wybitną osobistość: jest nią Szymon Umiński, główny administrator majątków Wydżgów i Wojciechowskich, skończony szubrawiec, żyjący za

pan brat z żandarmami, naczelnikiem powiatu, pułkownikami pogranicznej straży itp. W roku zeszłym podejmował na klęczkach archireja na drodze usłanej kwiatami. Gdy żandarmi potrzebują jakie miejscowe śledztwo przeprowadzić, to dokonywają go w prywatnem mieszkaniu Umińskiego, dokąd przyjeżdżają jego własnym powozem z Hrubieszowa.

* * *

**Z drogi żelaznej Dąbrowieckiej.** — W budżecie wydatków na naszej drodze liczy się kredyt 10.000 rs., przeznaczony na zapomogi dla pracujących na drodze, którzy czy to z powodu długotrwałej choroby, niepowodzenia lub nieprzewidzianych wypadków w rodzinie znaleźli się w krytycznem położeniu. Kredyt ten okazuje się niedostatecznym i co roku bywa podnoszony do 12 i 15 tysięcy. Kto jednak korzysta z tych funduszów przy znanym u nas systemie gospodarki, niech posłuży jako próbka wyciąg z cyrkularzy za 1894 r., drukowanych dla wiadomości i «rukowodstwa» służących na drodze.

1. Chodakowski Feliks — na kuracyę żony w Odesie 125 rs. Otrzymuje pensyi 1.200 rs. i na mieszkanie 300 rs.
2. Domański Ksawery — na koszt drogi wysłany do Solca (zakład leczniczy). Otrzymuje 1.000 rs. rocznie.
3. Englich Władysław, naczelnik stacyi Dąbrowa, — 50 rs.
4. Dergiman, naczelnik st. Bzin, — 125 rs.
5. Wenglewski, naczelnik st. Koluszki, — 110 rs. (Prośby motywowane cierpieniem żołądka.)
6. Młodowski, naczelnik st. Kielce, — 250 rs. «na wycieczkę do połnduiowej Europy». Prośba motywowana rozstrojem nerwów i katarem oskrzeli. Otrzymuje rocznie 1.200 rs. i mieszkanie w naturze.
7. Bogdanow, naczelnik ruchu, otrzymał 300 rs. tytułem zwrotu kosztów, poniesionych na pogrzeb córeczki. Pensyi ma 4.800 rs. i 1.200 rs. na mieszkanie.

1. Gołdzińska Małgorzata, stróżka przejazdowa, otrzymuje 42 rs. rocznie, służy na drodze 10 lat, wdowa z trojgiem dzieci; mąż jej, wyładowywując wagon roboczy, spadł i uległ kalectwu — umarł. Prośba o wsparcie motywowaną była brakiem środków do wyżywienia się z dziećmi; odmówiono jej «po bezzasadności motywów»!
2. Duda Władysław, robotnik drogowy, otrzymał 5 rs. na pogrzeb dziecka i środki wzmacniające dla pozostałych 2 chorych.
3. Biernacki, konduktor, — 5 rs. na pogrzeb dziecka i na środki wzmacniające dla chorej matki. Otrzymuje 240 rs. rocznie, ma na utrzymaniu rodziców, żonę i 3 dzieci.
4. Gondorek Wicenty, stróż drogowy, — 5 rs. na pogrzeb dziecka; służy na drodze 10 lat, z zapomogi nie korzystał w ciągu tego czasu.
5. Kot Adryan, stróż drogowy, przez czas 10-letniej służby z zapomogi nie korzystał; ma na utrzymaniu żonę i 7 dzieci; otrzymał na pogrzeb dziecka i kuracyę pozostałych 8 rs.
6. Celary Paweł, stróż drogowy, ma na utrzymaniu żonę i 3 dzieci; przez ciąg 10-letniej służby z zapomogi nie korzystał; prośbę motywował chorobą całej rodziny na tyfus i stratą wszystkich rzeczy z powodu pożaru domu. W czasie choroby był zmuszony wzywać obcej pomocy lekarskiej, gdyż ciało medyczne kolejowe na 5 telegramów odwiedziło go zaledwie 2 razy i to w osobie felczera. Odpowiedź: «aby w przyszłości nie wzywał obcej pomocy lekarskiej, lecz zadawalniał się kolejową; zwrotu strat poniesionych odmówić»!

Dane powyższe dostatecznie charakteryzują dzisiejszą sprawiedliwość kapitalistyczną.

* * *

**PABJANICE.** — Podajemy tygodniowe życie robotnika pod carską opieką — obliczone skrupulatnie, że ująć nic nie można. Robotnik ma żonę i 2 dzieci, zarabia po **3 rs. na tydzień** i według zdania fabrykantów z tej płacy może zrobić majątek.

Wydatki tygodniowe

| | | |
|---|---|---|
| Ubranie | | 40 kop. |
| Mydło i soda | | 5 |
| Opał | | 40 |
| Zapałki | | 1 |
| Golenie | | 2 |
| Guziki, nici, igły, łaty | | 3 |
| Kwatera | | 50 |
| Bielenie kwatery | | 2 |
| Garnki i miski | | 2 |
| Tabaka | | 5 |
| Szkolne | | 1 |
| Nafta | | 5 |
| Zabawy | | 4 |
| Piasek | | 1 |
| Miotła | | 1 |
| Lekarstwa | | 3 |
| Święta | | 3 |
| Biednym | | 1 |
| Chleb | 1 rs. | 5 |
| Sól | | 3 |
| Mleko | | 18 |
| Mąka na barszcz | | 12 |
| Ćwierć korca kartofli | | 35 |
| Okrasa | | 24 |
| Kawa | | 5 |
| Cykorya | | 3 |
| Cukier | | 7 i pół |
| Cybula | | 1 |
| Kapusta | | 20 |
| Kasza | | 10 |
| Groch | | 6 |
| Mąka na kluski | | 15 |
| Masło | | 20 |
| Razem | 4 rs. | 53 i pół kop. |

Robotnik otrzymuje 3 rs., zatem braknie do wydatków 1 rs. 53 i pół kop., które robotnik chyba ukraść musi. Jakiem jest życie z tygodniowym brakiem półtora rubla i czyja w tem wina — każdy czytelnik pewnie odgadnie.

Prałat Szulc postępuje z nami jak oprawca. Umarła tu uboga robotnica, którą miał pochować z ubóstwa; drugi pogrzeb bogaty stał wtedy w kościele, a zwłoki robotnicy postawiono w kruchcie; ludzie chcieli wysłuchać mszy św., lecz prałat kazał im się natychmiast wynosić z kościoła, nie pozwalając nawet zdala za bogatym pogrzebem nieść ciała robotnicy. Gdy umarł ślusarz Łysak, to prałat nie pozwolił, aby zwłoki jego stały w kościele dlatego, że nie był u spowiedzi, ale jak dostał oprócz ugody pogrzebowej jeszcze 5 rs., to pozwolił.

**ZAWIERCIE.** — Przed laty 8-iu założono u nas sklep spożywczy, w którym obowiązki zarządzającego objął z poręki dyrektora niejaki Dąbkowski. Pan ten, jak to nieraz wykazywali dyrektorowi robotnicy, bez ceremonii okradał kupujących, dodając na cenie towarów; miał jednak tyle sprytu, że swe złodziejskie sztuki stosował tylko do robotników; pp. dyrektorom i urzędnikom dostawał się towar zawsze w dobrym gatunku i po zwykłej cenie, dzięki czemu Dąbkowski wyrobił sobie u nich opinię «zacnego i uczciwego człowieka». Skargi robotników nie skutkowały i dyrektor ani chciał słyszeć o zmianie zarządzającego sklepem. Trwałoby to niewiadomo jak długo, gdyby nie nieoględność Dąbkowskiego, który w ten sam sposób, co robotników, oporządził niedawno i jednego z urzędników. To wywołało awanturę, rezultatem której była dymisya Dąbkowskiego. Dziś z książek rachunkowych obliczają, że w ciągu 8 lat Dąbkowski ukradł do 32.000 rs. i to prawie wyłącznie z kieszeni robotniczych.

Drugiego złodzieja wykryto w osobie Cytermana, pracującego w kantorze. Mianowicie okazało się, że przez 2 lata umieszczał on na liście wypłat 2 robotników, już nie pracujących w fabryce, i odbierał za nich płacę. Rzecz się wydała i Cyterman dostał 6 tygodni aresztu policyjnego. Należy dodać, że okradał on i robotników, ujmując z ich zarobków po 2, 4 grosze dla okrągłości rachunku!

Notujemy te dwie kradzieże, jako charakterystyczne dla ustroju kapitalistycznego. Dopóki ofiarą oszustwa i złodziejstwa pada robotnik, wszystko uchodzi bezkarnie i władze fabryczne w to nie wchodzą, robotnik zaś niema czasu i pieniędzy, by ścigać rabusia na drodze sądowej. Dopiero więc gdy rozzuchwalony złodziej sięgnie ręką do kieszeni uprzywilejowanych, podnosi się okrzyk oburzenia i na winowajcę spada kara za to, że, okradając bezkarnie robotników, spróbował też sięgnąć ręką wyżej.

* * *

**ŻERKOWICE** (pow. olkuski). — Były właściciel wsi Żerkowice, Bronisław Wernik, puścił pogłoskę, że wieś sprzedaje częściowo, t. j. na parcelacyi. Wyciągnąwszy od miejscowych włościan 5.000 rs. tytułem zadatku, uciekł do Warszawy, gdzie objął posadę inkasenta w gazowej fabryce, a obdłużony majątek oddał takiemu samemu złodziejowi, jak on, Celestynowi Adamczyk (były adwokat). Adamczyk, objąwszy majątek i otoczywszy się swymi stronnikami, począł pastwić się nad włościanami, upominającymi się o swoją własność, i pewnego dnia, gdy deszcz lał jak z cebra, kazał ich powyrzucać z dotąd zajmowanych mieszkań. Trzeba było być świadkiem tej sceny, żeby mieć pojęcie o podłości Adamczyka: kiedy niemowlęta z płaczem tuliły się do piersi matek, a ojcowie na kolanach błagali o litość, to łotr ten wraz ze swymi stronnikami z miną tryumfującą krzyczał: «zgodzisz się!» (t. j. przestaniesz się upominać o to, co ci skradziono). Chłopi, nie mając dachu nad głową, zmuszeni byli mówić: «panie, zgodzimy się, tylko pozwól naszym żonom i dzieciom wejść pod dach!» Adamczyk w drodze łaski kazał wejść 4 familiom do jednego chlewa!

Lecz znalazł się jeden z włościan, który postanowił pomścić swoją i swoich współbraci krzywdę. Wziąwszy dubeltówkę, poszedł on w stronę zagrody jednego ze sprzymierzeńców Adamczyka, który najwięcej się znęcał nad nieszczęśliwymi, wszedł na podwórze i, zobaczywszy w izbie owego łotra, wystrzelił i położył go trupem. Szkoda tylko, że się nie domyślił i Adamczykowi w ten sam sposób położyć metę jego łotrostwom; lecz nie zdążył, bo zaraz na drugi dzień został aresztowany.

## KRONIKA KRAJOWA.

**Strażacy** z drugiej części w Ratuszu uskarżają się na złe obejście kapitana, o którym wymownie świadczy następujący fakt. Jeden ze strażaków, uwalniając się ze służby, otrzymał kartkę zwolnienia z datą 5 | 17 listopada, w którym to dniu miał otrzymać swoją należność. Przez żarty jego towarzyszy data została przerobioną o jeden dzień dłużej, na co ów nie zwracał uwagi i udał się do kapitana po odbiór pieniędzy. Spostrzegłszy przerobioną datę, kapitan obdarzył go brutalnemi słowy i, schwyciwszy za kołnierz, pchnął go znienacka, iż ten głową uderzył o klamkę drzwi tak silnie, że czaszka pękła w paru miejscach i ofiara dzikości kapitańskiej padła nieprzytomna. Wezwany lekarz zadecydował jaknajspieszniejsze wysłanie do szpitala, gdyż pobitemu zagraża utrata życia.

**W kościele** Bernadyńskim w Radomiu znalazła kobieta wiejska portmonetkę, w której oprócz notatek i bezwartościowych kwitków nic nie było. Nie oglądając nawet jej zawartości, uczciwa kobieta zaniosła zgubę księdzu Wilczyńskiemu, aby ją zwrócił, komu należy. Lecz jakież było jej przerażenie, gdy ksiądz kazał ją aresztować mówiąc, że w portmonetce było 10 rs. Po długich katowaniach w policyi i rewizyi, przy której zabrano jej ciężko zapracowane 4 rs., puszczono ją ledwie żywą. I to ma być chrześciańska miłość bliźniego u księży!

**Wypędzanie djabła.** — W miasteczku Krynki (powiat grodzieński) do miejscowego popa przyszedł chłop do spowiedzi. Pop go przywitał słowami: «ujdi procz', w tiebie satana sidit»! Chłop zakłopotany wraca do domu, lecz tu życie staje się dlań niemożliwem: gdy rozeszła się wiadomość o słowach popa, wszyscy zaczęli odeń stronić i dokuczać mu. Idzie więc chłop znowu do popa i ofiaruje mu 5 rs. za wypędzenie djabła. Pop każe mu przyjść nazajutrz. Raniutko zjawia się chłop, lecz okazuje się, że djabła można wypędzić dopiero po zachodzie słońca, tymczasem więc zaprzęga pop chłopa do rąbania drzewa! Wieczorem rozpoczyna się ceremonia wypędzania djabła: pop stawia przed chłopem zapaloną świecę i na różne tony woła: «wyjdi, wyjdi»! Wreszcie oświadcza on, że djabeł siedzi mocno i odrazu nie chce wyjść, nakazuje więc chłopu przyjść jeszcze raz. Nazajutrz powtarza się to samo i chłop, zniechęcony stratą 5 rs. i dwudniową darmową pracą, zaczyna wyrażać niezadowolenie. Wtedy pop zaczyna z coraz większą siłą krzyczeć: «wyjdi, wyjdi»! i w końcu nieznacznie gasi świecę, oświadczając uroczyście, że djabeł wyszedł, gdyż to właśnie on wychodząc przez usta chłopa zdmuchnął świecę. Chłop uspokojony wraca do domu i roznosi sławę popa.

Komentarze z naszej strony zbyteczne. Dodać tylko musimy, że ten sposób korzystania z ciemnoty chłopów jest dość rozpowszechniony na Białej Rusi, przynosząc popom sowite zyski.

**Sprawa Salerny.** — Znany kapitalista Salerno di Colonna skazany został za kradzież cegły kanalizacyjnej pod budowę oficyny na dożywotnie osiedlenie w gubernii tobolskiej. Świeżo sprawa ta ponownie sądzona była w drugiej instancyi. Sąd, pomny na zasługi Salerny, który w 63 r. odznaczył się szeregiem szpiegostw, zmniejszył mu karę do 6 miesięcy więzienia. Adwokat Pepłowski w swym hymnie pochwalnym na cześć tego złodzieja — kapitalisty ośmielał się bezkarnie piętnować mianem «wyrzutków społeczeństwa» i «ludźmi bez czci i wiary, którym wierzyć niepodobna» wszystkich woźniców. Woźnice powinni panu Pepłowskiemu dać należytą nauczkę za takie poniewieranie ich godności.

**Przyszły kapitalista.** — Do wiadomości cieślów podajemy, żeby zwrócili uwagę na podmajstrzego Mała i oduczyli go w sposób odpowiedni od denuncyowania i łajdactwa. Mal wziął od przedsiębiorcy R. tytułem łapówki 60 rs., aby ukończył roboty w ciągu dwóch tygodni. Pan podmajstrzy wziął się do tego w sposób złodziejski: krzykiem i groźbą zmuszał robotników do wytężonej pracy, godzinę obiadową urywał, nadto w ciągu tego czasu pozbawił roboty do 14 robotników za to, iż solidarnie wystąpili przeciw jego nadużyciom. Wydalając twierdził, że nie znosi buntowników. Wysługiwanie się kapitalistom i rządowi posunął on już raz do zadenuncyowania kilku robotników przed żandarmem kolei Terespolskiej. Obawiając się teraz słusznej nagrody za swe haniebne czyny, nosi Mal z sobą rewolwer. Warto by wyprawić temu panu poczęstunek!

**W Kreście** petersburskim odsiadują obecnie wyroki następujący polacy: Kostrzebski Julian, Iwanowski Leon, Oszmaniec Jan, Bendyk Aleksander, Malicki Jan — robotnicy; Okulicz, Niepokojczycki, Kiliański Maksymilian, Abramowicz Maryan — studenci; Trzciński Stanisław, telegrafista; Dąbrowski Wacław, buchalter z Łodzi; Falkenberg Bolesław i Berezowski Ignacy.

## KURYEREK

Zarząd kolei Dąbrowieckiej zdecydował się przyjąć wszystkie, żądane przez robotników warsztatowych w Radomiu, zmiany w książeczkach za wyjątkiem punktów, dotyczących płacy.

Dąbrowiecki Komitet Robotniczy wydał na 1 grudnia odezwę wraz z «Listem otwartym do polskiego ludu roboczego», napisanym przez ks. Ściegiennego. Zadaniem tej odezwy było przeciwdziałać szkodliwym naukom księży dzisiejszych, którzy szczególnie w dzień św. Barbary lubią pouczać górników o uległości i pokorze względem ich wyzyskiwaczy.

Diethel, właściciel przędzalni w Sosnowcu, chcąc upamiętnić robotnikom dzień zwiedzania fabryki przez Szuwałowa, kazał im wypłacić 10 procent dziennego zarobku, jako gratyfikacyę. Większość zwróciła panu fabrykantowi tę «szczodrą» ofiarę.

Apuchtinowskie internaty gimnazyalne zaczynają już wydawać błogie owoce. W listopadzie przywieziono do szpitala warszawskiego («łabaja») 15 uczniów z internatu piotrkowskiego, popełniających samogwałt. Są to malcy z niższych klas i tylko 2 z 4-ej. Oto — «prebłagoje i prepoleznoje naczinanie» (słowa cara Aleksandra III)!

Obersalceson Kleigels wyjechał nareszcie wczoraj do Petersburga na nowe miejsce. Rotmistrz Szlikiewicz nosi się z zamiarem porzucenia munduru żandarmskiego; ma on wstąpić do «lesnowo wiedomstwa» w Kursku. Wiadomość ta wywołała sensacyę w kołach towarzyszy.

W Puławach oprócz podanych w Nr. 11 aresztowano jeszcze studentów instytutu: Skowronka, Hempla, Pruszyńskiego, Hryniewieckiego, Ciechowskiego i 18 włościan okolicznych.

Dnia 27 listopada z cytadeli wypuszczono na wolność 17 robotników. Na siedzących lada dzień mają nadejść wyroki.

Aresztowany przez żandarmów na wsi w powiecie szawelskim Antoni Zelcer w drodze do Kowna zbiegł ze stacyi w Koszedarach. Wiozące go dwa fijołki z rozpaczy poprzewracali sągi drzewa opałowego na stacyi, poszukując zbiega, lecz napróżno!

## Kolęda robotnicza

Bracia robotnicy, zrozumcie na Boga,
Że my w ruskim carze zawsze mamy wroga.
On wspólnie z tyrany
Nas kuje w kajdany!
Hej kolęda, kolęda!
Za to fabrykantom dobrze się powodzi,
Bo ta ruska małpa w pomoc im przychodzi.
Nasyła żołdaków,
By bili biedaków!
Hej kolęda, kolęda!
Nasi fabrykanci dobrze zrozumieli
I z carem - batiuszką za łapy się wzięli.
A nas obdzierają
I krew wysysają!
Hej kolęda, kolęda!
Więc też gdy fabrykant skrzywdzi robotnika,
Wtedy rząd swe ślepie obrzydłe zamyka.
Psy się wnet zwąchają
I nas obciągają!
Hej kolęda, kolęda!
Robotnik zmuszony od rana do nocy
Pracować o głodzie, choć nie stać mu mocy.
A za to w starości
Żebrze on litości!
Hej kolęda, kolęda!
Budujem wspaniałe tym trutniom pałace,
By mieli gdzie trwonić naszą krwawą pracę.
Sami zaś o głodzie
Umieramy w smrodzie!
Hej kolęda, kolęda!
Więc czemuż nie wzniesiesz swej dzielnej prawicy,
By przegnać złodziei roboczej krwawicy.
I carat przeklęty
Z wszystkiemi bydlęty!
Hej kolęda, kolęda!
Tylko sprobuj powstać, mój ludu ubogi, —
Brok i Biełanowski ustąpią wnet z drogi.
Tę ich dziką tłuszczę
Zapędzim na puszczę!
Hej kolęda, kolęda!
Cóż nam może zrobić ta carska czereda,
Gdy robotnik więcej okradać się nie da.
Jak pozna swe siły,
Obali rząd zgniły!
Hej kolęda, kolęda!
W ruskim robotniku znajdziem także brata,
Który siły zbierze, by zgnieść swego kata.
Rękę mu podajmy,
Zawsze się wspierajmy!
Hej kolęda, kolęda!
A kiedy połączym swe robocze siły,
To zmienim napewno porządek ten zgniły.
Wtedy i próżniacy
Wezmą się do pracy!
Hej kolęda, kolęda!
Choć nas dziś tyrani bardzo prześladują,
Jednakże bezsilność wobec nas swą czują.
Dalej za robotę,
By przegnać hołotę!
Hej kolęda, kolęda!
Niech nas nie zastrasza więzienie, wygnanie,
Dla nas stokroć gorsze powolne konanie.
Cięższe niż więzienie
Moralne cierpienie!
Hej kolęda, kolęda!
Nakoniec Wam powiem jeszcze słówek parę,
Że trzeba pamiętać to przysłowie stare:
Mówiąc między nami,
Język za zębami!
Hej kolęda, kolęda!

## Ostrzeżenie

W ostatnich dniach listopada został wypuszczony z cytadeli **Żebrowski**, szewc. Prawdopodobnie będzie się on starał nawiązywać stosunki, przeto ostrzegamy wszystkich przed nim, gdyż jest on na utrzymaniu u żandarmów.

Również należy się wystrzegać **zdrajcy Feliksa Przybyłowskiego** (tkacz z Żyrardowa).

Ogłoszony przez nas w zeszłym numerze **Bolesław Bilski** znikł z Warszawy. Mówią, że uciekł on do Ameryki.

Uważamy za potrzebne jeszcze raz przypomnieć, że **Benzef**, stolarz, zwany Wagnerem, jest szpiclem.

W zeszłym numerze zamiast: Marya Kicińska należy czytać: **Marya Kizińska.**

## Aleksander Bursztyn

zacny i energiczny towarzysz, członek byłego «Proletaryatu», zmarł we wrześniu b. r. w Tyflisie na wygnaniu. Aresztowany 24 marca 1892 roku wskutek donosu szpiega - prowokatora Wyszomirskiego przesiedział półtora roku na śledztwie w X-ym pawilonie. Zupełnie zrujnowany na zdrowiu i z początkami suchot w listopadzie zeszłego roku dostał wyrok na półtora roku więzienia i 3 lata zesłania do Rosyi z wyborem miejsca. Po trzech miesiącach trzymania w Kreście petersburskim dogorywającego już wywieziono do Tyflisu, gdzie zakończył swój męczeński żywot.

Cześć jego pamięci!

**Od redakcyi.** — Do numeru niniejszego dołączamy 4 stronice dodatku, zawierającego dalszy ciąg «Z majowych dni», których druk rozpoczęliśmy w Nr. 8. Przerwa nastąpiła wskutek tego, że autor zmuszony był po raz drugi pisać swój utwór, zniszczony przez omyłkę.

## POKWITOWANIA

Na więźniów politycznych. — Z wieczorka — 3 rs. Z odczytu — 28 rs. 5 kop. Z loteryi — 15 rs. Adam Mickiewicz — 4 rs. 76 kop.

Na sprawy partyjne. — Z. K. R. — 12 rs. 90 kop. P. K. R. — 3 rs. R. K. R. — 16 rs. K. L. Y. — 1 rs. Od a. b. c. z dalekiego wschodu podatku — 30 rs., 15 rs. Od towarzyszy z M. — 50 rs. Z M. — 30 rs. Od towarzyszy z T. — 150 rs. Szczodra — 19 rs. 60 kop. Nr. 15 — 4 rs. 20 kop. S. s. — 2 rs. 70 kop. K - a — 3 rs. Kl. — 4 rs. 50 kop., 4 rs. 60 kop. i 3 rs. 50 kop.

# Z MAJOWYCH DNI

## II. Telegram

PRZY ulicy Sroczej pod Nr. 75 mieszkał Antoni Zawada, zecer. Historya jego życia przedstawiała jedno pasmo ustawicznego borykania się z nędzą — szereg ciężkich i smutnych dlań wypadków. Rodzice jego, zagonowa szlachta, pomimo ubóstwa pragnęli wykierować syna na księdza i oddali go do szkół. Tutaj Antek zapoznał się z nędzą tak straszną, o jakiej nie mają pojęcia synowie uprzywilejowanych klas społeczeństwa. Na samym wstępie nędza podcięła jego siły fizyczne i zrobiła zeń chłopaka wątłego, o bladej schorowanej cerze. Pomimo wielkich zdolności Antek z biegiem czasu uczył się coraz gorzej, bo osłabiony organizm nie pozwalał na usilną pracę umysłową. Antek jednakże odznaczał się przyrodzonym hartem duszy i postanowił zwalczyć swojego wroga — nędzę. Ale potężny to był wróg i do zwalczenia jego potrzeba było mieć więcej siły, niż mogło jej posiadać zbiedzone chłopię. Wróg ten powoli i systematycznie wyrywał zeń siły i zdrowie, aż nareszcie, upatrzywszy odpowiednią chwilę, uderzył na mózg, by pozbawić go zupełnie możności dalszej nauki. Antek wyszedł z tej walki wątły, chorowity, wyrośnięty nad miarę i z okaleczonym umysłem. Stał się maniakiem, histerykiem, dla którego wszelka praca umysłowa była już niemożliwą. Może w innych warunkach, gdyby znalazła się jakaś bratnia, pomocna dłoń, zostałby uczonym, który by odkrywał nowe prawdy, z którego pracy społeczeństwo ciągnęłoby ogromne korzyści, ale warunki, w których żyć musiał, warunki dzisiejszego ustroju, gdzie jednostka ludzka jest bezsilną i rzuconą na pastwę losu, sprawiły, iż stał się tylko... maniakiem.

Usłuchał wreszcie rad osób przychylnych i wziął się do rzemiosła: został zecerem. W stosunkowo lepszych warunkach bytu siły jego i zdrowie znacznie się poprawiły, ale maniactwo pozostało nazawsze, służąc niewyczerpanem źródłem dla żartów towarzyszy. Przyjmował je zresztą dobrodusznym uśmiechem, nie obrażał się. Do śmiechu zaś dawał bardzo często powody i nigdy nie można było przewidzieć, co powie i jak postąpi w danym wypadku. Towarzyski z natury miewał jednak niekiedy jakieś napady człekowstrętu, a wtedy zdolny był przesiedzieć kilka dni w mieszkaniu, nie wychodząc za jego próg i nie widząc żadnej ludzkiej twarzy. Jak sobie wtenczas radził z potrzebami życiowemi, — wiedział tylko on i najbliżsi znajomi. Z dawnego zamiłowania do nauki pozostało mu tylko upodobanie do zbierania wszelkich druków, bez względu na ich treść, do czego, jako zecer, miał wszelką sposobność. W mieszkaniu więc jego, gdziekolwiek znalazło się swobodne miejsce, wszędzie piętrzyły się ogromne ich stosy, przykryte grubą warstwą kurzu i pomieszane ze śmieciem, gdyż Antek nikomu nie pozwalał tknąć swoich skarbów i sprzątał w mieszkaniu sam, do czynności zaś tej przystępował bardzo rzadko i wykonywał pobieżnie.

Owe szpargały służyły mu jako materyał do stworzenia wiekopomnego dzieła o Jezuitach. «Braciszkowie Lojoli» byli przedmiotem wielkiej jego nienawiści i wszystkich, kogo tylko uważał za nikczemnika, oszusta lub zbrodniarza, nazywał jezuitami. Byli więc nimi w jego oczach zarówno fabrykanci, bankierzy lub żandarmi, jak i zwykli rzezimieszkowie, złodzieje lub szpicle. Nazwę zaś ową nie stosował w przenośni, ale był najszczerzej przekonany, że wszelki zły człowiek jest rzeczywiście przebranym jezuitą, tajnym członkiem zakonu. Tę właśnie teoryę postanowił udowodnić w swojem dziele. Pracował nad niem przeważnie po nocach i zapisał już mnogie arkusze. Właśnie i teraz oto siedzi zgięty nad swoją pracą. Jest już znacznie po północy. Zakopcona lampka oświeca jego długą zgarbioną postać. Twarz ma podłużną, szeroką u góry wązką u dołu, opatrzoną śpiczastą brodą i ogromnemi sterczącemi wąsami. Głowę łysą, świecącą po bokach okalają dwie kępy niesfornych ciemnych włosów, nastroszonych niby skrzydło ptasie. Przy usilniejszem myśleniu to jedna to druga brew podskakuje mu na czole całkiem niezależnie od woli właściciela. Rysy twarzy wskazują, że przekroczył już trzydziestkę. Od czasu do czasu pociera sobie skroń, w której, zdaje mu się, że pulsa nazbyt mocno biją. Nareszcie złożył pióro i wyprostował stężałe od siedzenia członki.

— Dosyć roboty, — zawołał — trzeba i wypocząć! Zrzucił prędko ubranie, zdmuchnął lampkę i wyciągnął się na łóżku, w którego wklęśnięciu postać jego ginęła całkowicie i tylko z poduszki sterczały długie wąsy. Ale jakoś zasnąć nie mógł, rozbujałe myśli nie chciały się uspokoić. Już pierwsze brzaski pobieliły zlekka okno, a Antek ciągle nie spał. W końcu myśli jego zaczęły się nieco plątać, przy łóżku pojawiły się różne postacie, to raz szpiegów, to bankierów lub żandarmów, a u każdej z nich z pod ubrania wyglądał rąbek sutanny jezuickiej. Nareszcie zbliżyła się doń jakaś ciemna postać i nacisnęła ręką czoło: w jednej chwili wszystkie myśli splątały się w jakiś nierozwikłany kłąb i Antek stracił świadomość, zasnął.

Zbudziło go silne dobijanie się do drzwi mieszkania. «Co to być może?» — pomyślał. Stukanie stawało się coraz silniejsze. Zerwał się z łóżka i cichutko przybliżył do drzwi. Słuchał. Za drzwiami prowadził ktoś szeptem rozmowę, stukanie zaś rosło, aż drzwi się trzęsły w zawiasach.

— Kto tam? — zapytał nareszcie.

— Telegram! — odpowiedział gruby głos. Antek, odkąd żyje, nie odbierał żadnych telegramów, zdziwienie więc jego i przestrach były wielkie. Bał się, że za temi drzwiami czeka nań jakaś wieść straszna, nieodgadniona, i to uczucie paraliżowało mu ruchy. Ale gdy pukanie przybierało coraz gwałtowniejszy charakter, przekręcił nareszcie klucz w zamku. Zaledwie to uczynił, gdy drzwi gwałtownie się otworzyły, odpychając Antka pod ścianę, za nimi zaś ukazała się zbita masa głów ludzkich, oświeconych blaskiem latarni. Ludzie byli uzbrojeni w pałasze i rewolwery, dwóch miało odzież cywilną. Gwałtownie parli się w otwarte drzwi i wkrótce zapełnili cały pokój. Antek zgłupiał. Z otwartą gębą sterczał przy ścianie, patrząc na wdzierającą się masę ludzi, i nic nie rozumiał. Zaspany i rozczochrany wyglądał, jak upiór Don Kichota*). Nareszcie pojął, o co tu chodzi.

— Jezuici! — zawołał żałośnie, a w myśli dodał — dadzą mi teraz oni pieprzu za moje pisanie. Skąd się też mogli dowiedzieć? I skóra na nim ścierpła.

— A wot my i priszli! — ozwał się rotmistrz Łykiewicz głosem takim, jakby mówił: złapałeś się nareszcie ptaszku!

— No, odiewajtieś! — dodał komisarz Jołopow, a w głosie jego dźwięczało: pojedziesz bratku z nami! Drżącemi ze zdenerwowania rękami Antek począł się spiesznie ubierać. Nie szło mu to jakoś. Żandarmi tymczasem i jeden z cywilnych zaczęli przetrząsanie rupieci. Wzniosły się tumany odwiecznego kurzu, aż żandarmi się ksztusili.

---

*) Don Kichot — zbzikowany rycerz średniowieczny.

— Szukajcie głównie takich małych książeczek w kolorowych okładkach i dawajcie mi tutaj! — informował Łykiewicz.

Antek tymczasem ubrany już siedział na krześle i palił papierosa po papierosie. Po przejściu pierwszego przestrachu ogarnął go gniew. «Jakim prawem ci ludzie gospodarują w moim mieszkaniu!» — myślał. Drżał cały z rozdrażnienia, a brwi mu jeździły po całem czole; chwytał się za skroń i otwierał usta, chcąc mówić, protestować, ale nie mógł. Komisarz tymczasem zabrał się do przeglądania dzieła Antka o Jezuitach.

— Gdzie się mieści pańska drukarnia? — zapytał go znienacka Łykiewicz.

Antek był tak wzburzony, że nie zdobył się na odpowiedź. Milczenie to Łykiewicz wytłomaczył sobie jako chęć ukrycia i ponowił pytanie zapewniając, że i tak wie o wszystkiem, więc lepiej się przyznać.

— Kiedy pan wiesz, to po co się pytasz? — odpowiedział nareszcie.

— Pióra! papieru! — zawołał radośnie Łykiewicz — nie zaprzeczył, że nie! Radzę panu — zwrócił się znowu do Antka — powiedzieć wszystko; my wiemy, ale tu chodzi o własne pańskie dobro. Przy której więc ulicy pańska drukarnia?

— Przy ulicy Bzówy - kwiat — burknął niechętnie.

— Mamy ją, mamy ją! — woła Łykiewicz, zacierając ręce — kiedyś pan już tyle powiedział — badał dalej — to objaśnij również, pod którym numerem?

— Pod numerem 41.

— A u kogo się mieści?

— U Szweintala.

— Taak! — jęknął rotmistrz głosem pełnym zawiedzionych nadziei — ależ to chyba drukarnia legalna?

— Naturalnie — odpowiedział Antek, pocierając nerwowo skronie — tam właśnie pracuję.

— Ależ ja nie o taką drukarnię się pytam — irytował się pan rotmistrz — pan mi powiedz, gdzie jest pańska nielegalna drukarnia.

— O takiej nic nie wiem.

— Nieprawda! wiesz pan doskonale. Najlepszy pański przyjaciel Wojtek o tem nam powiedział. Siedzi on teraz u nas pod kluczem. Przyznaj się lepiej, bo źle będzie. Wiem dobrze, żeś jako zecer pracował przy drukarni majowej proklamacyi.

— Nie wiem o tem — odbąknął Antek, którego już zaczęły gniewać nie na żarty owe kłamliwe oskarżenia; sam zaś pomyślał: «Więc to nie o moich Jezuitów chodzi!» i żal mu się zrobiło uwięzionego Wojtka, którego już miał za straconego nazawsze. Badanie przerwał radośny okrzyk żandarmów:

— Jest, jest!

Przed Łykiewiczem ciągle składano podejrzane druki, które ten rzucał na ziemię lub odkładał na stronę, stosownie do tego, co uważał za «błagonadiożne» lub podejrzane. Teraz przyniesiono mu z tryumfem kilka kolorowych broszurek. Łykiewicz porwał je chciwie, ale kurz zakręcił mu tak w nosie, że musiał się powstrzymać, oczekując kichnięcia. Kichnięcia nie nastąpiło, gdyż Jołopow ozwał się raptem, chcąc coś powiedzieć o przeczytanem zdaniu w «Jezuitach» i przeszkodził w ten sposób. Ale w tejże chwili i jemu kurz zakręcił w nosie, więc umilkł i czekał również na zbawcze kichnięcie z otworzoną gębą i wzniesionemi ku niebu oczami. Łykiewicz tymczasem, zrezygnowawszy z kichnięcia, wziął się do przeglądania przyniesionych broszurek. Mina jego wyrażała rozczarowanie, były to bowiem nie straszne rewolucyjne wydawnictwa, ale najzwyklejsze kalendarze humorystyczne.

W trakcie tego Antek oprzytomniał cokolwiek i przyglądał się gospodarującym w mieszkaniu ludziom. Kilku żandarmów i policyantów z cywilnym na czele przetrząsało wszystkie jego graty. Zaspany i wystraszony stróż przyświecał im latarką, ale najbardziej irytował Antka drugi cywilny, siedzący niespokojnie na stołku. Był to staruszek całkiem już siwy, zachowaniem się swojem zdradzał wielki niepokój. Antek wyobrażał sobie, z jaką by roskoszą zrzucił go ze schodów. Ten stary łajdak, któremu już trzy ćwierci do śmierci, jeszcze uprawia szpiclowstwo. Och, ci Jezuici!

Zapał żandarmów, którzy nie znajdowali dla siebie odpowiedniej pastwy, wzrastał, a wraz z tem rosły i tumany kurzu. Cywilny skomenderował zajrzeć do pieca! Antek zaniepokoił się, co nie uszło bacznego oka Łykiewicza. Po chwili rozległ się radośny okrzyk:

— Jest, jest! Mnogo kakich to paczek!

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę krzyczącego.

— Dawaj go tu! — zawołał rotmistrz.

Z pieca zaczęto wydobywać na świat jakieś owinięte starannie w papier i obwiązane czerwonemi sznureczkami pakiety. Na niektórych były porobione czerwonym ołówkiem napisy. Było ich ze 30.

— A nie mówiłem? — tryumfował Łykiewicz.

— Wot my i uchłopali ptaszka! — zawtórował Jołopow.

Paczki tryumfalnie złożono przed Łykiewiczem na stole. Wszyscy się tłoczyli zaciekawieni. Zapanowało milczenie.

— Panie rotmistrzu! — ozwał się wzburzonym głosem Antek — daj pan temu pokój i nie zaglądaj do paczek.

— A cóż to pan myślisz, panie Zawada, żeśmy tu dla komedyi przyszli! Wiedziałem ja dobrze, coś ty za ptaszek! Lepiej nie proś naprożno, a jeżeliś nie chciał odpowiedzialności, to należało się raczej odrazu do wszystkiego przyznać. Na drugi raz staraj się lepiej chować swoje paczki i pamiętaj, że w piecach szukamy zawsze.

Po tej ironicznej uwadze Łykiewicz zabrał się do sylabizowania napisów. Przełamawszy trudności językowe, wyczytał nareszcie: «Prezent dla jezuity».

— Cóż to ma znaczyć? — spytał zdziwiony Jołopow.

— A ot zobaczymy dalej — odparł Łykiewicz i sylabizował: «Dy - na - mit».

— Hospodi pomiłuj! — krzyknięto dokoła.

— Jezus Marya! — jęknął staruszek, zrywając się ze stołka.

Wszystkie twarze wyrażały wielkie wzburzenie i jeden tylko Łykiewicz zachował zupełny spokój. Twarz jego przybrała wyraz jakiejś namaszczonej powagi, a oczy błyszczały jak stal.

— Związać go! — dał rozkaz żandarmom, wskazując na Antka. Rozkaz wypełniono w mgnieniu oka.

— Panie rotmistrzu! — ozwał się ostatni, cały drżący i zaczerwieniony — jeszcze raz pana proszę, daj pan pokój tym paczkom. Ale Łykiewicz zamiast odpowiedzi błysnął mu tylko tak groźnym wzrokiem, że aż Jołopow poczuł napływ uwielbienia. «To dopiero człowiek, myślał, i dynamitu się nie boi i skarcić socyalistę potrafi nawet bez słów! Bodajto być żandarmem!»

— Wasze Wysokobłagorodje! — ozwał się głos podoficera, który nie mógł już dłużej zapanować nad niepokojem — radi Boha ostorożno, a to wypalit.

— Mołczat'! — skarcił Łykiewicz — Jak śmiesz przy mnie rozdziawiać mordę? Co to za niesubordynacya! Już ja ci to zapamiętam!

Pomimo jednak groźnie uroczystej miny pan rotmistrz jakoś nie mógł się zdecydować na otworzenie paczki. Już parę razy ręce jego zbliżały się do niej, ale je w porę cofnął i zapanowywał nad niewczesną ciekawością. Jołopow chciał podać jakąś radę i już nawet otworzył usta, ale w tejże chwili kurz, unoszący się w powietrzu, tak mu zakręcił w nosie, że aby nie zakłócić tak uroczystego nastroju lub nie powiedzieć jakiego głupstwa, łypnął tylko oczami i wszystkie siły skierował ku opanowaniu grożącej katastrofy kichnięcia. Łykiewicz zaś, pozostawiony sam sobie, pozbawiony rad i przyjacielskiej pomocy, zdecydował się nareszcie czynność otworzenia paczki powierzyć żandarmowi.

— Tylko ostrożnie! Na miłość boską ostrożnie! — wołano dokoła zdławionemi głosy. A ręce żandarmskie drżały jak w febrze, nareszcie sznureczek opasujący paczkę został rozwiązany. Ale tu stało się coś nadzwyczajnego: rozległ się huk, jakby wystrzału pistoletowego.

— Ach! — krzyknięto dokoła. Żandarm upuścił paczkę na ziemię. Wszyscy byli bladzi, jak gdyby wszystka krew uciekła im z twarzy. Łykiewicz zmieniony i zzieleniały powstał i zawołał:

— Panowie! Wszyscyśmy byli na włos od śmierci. Za cara gotowiśmy zawsze oddać życie. Ale kto był przyczyną katastrofy? Paczka mogła wybuchnąć, jak nic!

Tu wysunął się Jołopow, również blady z miną winowajcy.

— Jej Bohu, Benjaminie Andrzejewiczu, ja niechcący! — usprawiedliwiał się — ten kurz okropny... nie mogłem dłużej wytrzymać i... kichnąłem...

Łykiewicz jednak nie dał się odrazu udobruchać i nie mógł się powstrzymać od wypowiedzenia gorzkich słów prawdy.

— Muszę Ci powiedzieć, panie komisarzu, — wyrzekł — że mógłbyś kichnąć tak, by nie narażać tem życia wiernych sług cara i bezpieczeństwa całego miasta!

Żandarm podniósł delikatnie z ziemi złowieszczą paczkę i ułożył na krześle. Pośród grobowej ciszy i skupienia poczęto ją rozwijać.

— No i cóż? — spytał Łykiewicz.

— Jakaś substancya żółta, gęstości ciasta — odrzekł podoficer.

— Takim właśnie jest dynamit — zawyrokował Jołopow.

— Hospodi pomiłuj! — zawołano dokoła — mogliśmy zginąć, jak muchy.

Staruszek oparł się o ścianę i nie zdradzał znaków życia. Łykiewicz zaczął spisywać protokół.

— Cóż jeszcze? — zapytał.

— Woniajet, wasze wysokobłagorodje — dyktował podoficer.

— Jak to «woniajet»! — zdziwił się rotmistrz.

— Jest to zapach kwasu siarczanego, gdy się naleje na cynk — tłomaczył Jołopow.

— Nie może być: dynamit przecież robi się z kwasu saletrzanego nie zaś siarczanego.

— To jedno licho: i to kwas i to kwas, a wszystko sztuki djabelskie — wykładał komisarz.

— Nie może być — wątpił dalej Łykiewicz — dajcie mi tu, zaraz powącham.

Żandarm wziął za brzegi papieru i uniósł w górę.

— Urwie się! Trzymaj na dłoni! — zawołano.

Żandarm się stropił i nie wiedział, co ma robić. Naówczas komisarz, pragnąc naprawić poprzedni błąd, zdobył się na odwagę i sam podstawił dłoń. Po czem uroczyście powąchał paczkę, a następnie zbliżył ją do nosa rotmistrza. Łykiewicz pociągnął porządnie nosem powietrze. Twarz jego wyrażała zdumienie i obrzydzenie. Splunął głośno i oblał się ponsem aż po białka oczu. Zwrócił się do żandarma i wykrztusił przez zęby:

— Ssssukin syn! — zwrócił się do innych i ryknął — Kanalje! Wszystkich do aresztu wpakuję! — wybuchnął wreszcie — Ach niegodiaje! Wyrzuć mi te wszystkie świństwa natychmiast! — nakazał stróżowi.

Zapanowała kłopotliwa cisza, każdy się czegoś wstydził. Łykiewicz spojrzał na zegarek i chwycił się za głowę.

— Toż to siódma dochodzi! Całą noc przewałęsali się i nic nie znaleźli: niema co, trzeba spisać protokół — zadecydował.

— A z tem co będzie? Czuję tu coś niedobrego! — zawołał komisarz, wskazując pracę Antka.

Łykiewicz wziął w rękę gruby zeszyt i przeczytał tytuł: «Jezuici czyli...»

— A niech że tych jezuitów już raz licho weźmie! — zawołał — Nie głupim powtórnie się na nich złapać! I zeszyt rzucono do kąta.

Spisano następnie protokół, w którym powiedziano, że w mieszkaniu Antoniego Zawady podczas rewizyi «niczewo podozritielnawo nie naszłoś»! Protokół podpisał komisarz, rotmistrz i lokator, oprócz tego zaś, ku wielkiemu zdumieniu Antka, i ów staruszek. Ostatni taki był zdenerwowany, że mu pióro skakało w ręku, aż go nareszcie zaczęli żandarmi uspakajać, że mu nic przecież się nie stanie. W końcu skonfiskowali Antkowi kilka książek, względem których nie byli pewni, czy są dozwolone przez cenzurę, jak «Waligórę» Kraszewskiego, «Pamiętniki kwestarza» Chodźki itd. i wynieśli się wszyscy, pozostawiając w rewidowanem mieszkaniu masę śmiecia, kurzu w powietrzu i wszystkie graty porozrzucane i roztrzęsione.

Gdy nareszcie Antek pozostał sam, opanowała go pasya, tem silniejsza, że była reakcyą po odczutym niedawno przestrachu. Przyszło mu następnie na myśl, dlaczego nie urządził żandarmom jakiej awantury, i znowu się zirytował. Przypomniał nareszcie, że gdyby był zamknął drzwi na łańcuch, mógłby przynajmniej ujrzeć całą tę czeredę przed jej wtargnięciem, zatrzymać, przygotować się i potargować. Myśl ta pchnęła go do czynu: podszedł do drzwi i zaczepił łańcuch.

Usiadł potem, sapał, ruszał wąsami i brwiami i rozcierał skronie, czochrając coraz bardziej skrzydła swoich czarnych włosów. «Jakim prawem ci ludzie śmieli wtargnąć do jego mieszkania, pozbawić go snu, podeptać jego prawa własności i wszelkie ludzkie. Jaka to nikczemna intryga jezuicka!» — myślał. W trakcie tego zapukano do drzwi. «Nie otworzę!» — pomyślał Antek. Pukanie powtórzyło się drugi i trzeci raz. Stałość postanowienia przemogła wkrótce ciekawość, kto to być może.

— Kto tam! — zapytał.

— Puszczaj, fujaro! — odpowiedział dźwięczny głos.

Antek poznał po głosie Wojtka, ale nie ufał sobie, bo przecież jezuici tacy przebiegli! Nie otworzył więc odrazu, lecz tylko uchylił drzwi, nie spuszczając łańcucha. Ujrzał śmiejącą się twarz Wojtka.

— Toś dopiero teraz się domyślił zaczepić łańcuch? — śmiał się ostatni — A czemuś tego nie zrobił raczej w nocy?

— Skądże ty wiesz o rewizyi u mnie? — zdziwił się Antek, nie mogąc jakoś drżącemi rękami odczepić łańcucha.

— Wiem ja coś więcej od Ciebie o Jezuitach, chociaż piszesz o nich dzieło. Czy zabrano je Tobie?

— Nie, zostało.

— To rzecz dziwna.

Drzwi nareszcie zostały otworzone i do pokoju wpadł Wojtek, ledwie powstrzymujący wybuch śmiechu.

— Cóż znaleźli? — zapytał.

— A znaleźli! — odrzekł Antek, pomimo wzburzenia nie mogąc powstrzymać się od uśmiechu — Bodaj by zawsze to znajdywali!

— Cha, cha, cha, cha... — wybuchnął Wojtek, padając na łóżko — To się obłowili! cha, cha, cha...

Antek musiał mu opowiadać szczegóły rewizyi, a Wojtek wybuchał coraz serdeczniejszym śmiechem.

— Toś im przygotował pasztet, niechże Cię za to uściskam! — wołał rozweselony — Ale co też więcej oni u Ciebie robili?

— Cóż mieli robić? Kichali.

— Cha, cha, cha... Toś, widzę, i tabaką ich uczęstował! Zapewne, odkąd żyją, nie mieli jeszcze takiej rewizyi. Ale wiesz, i mnie już owa tabaka Twoja zaczyna kręcić w nosie i drapać w gardle. Jeżeli więc nie chcesz, bym kichnięciem nie w porę naraził na zgubę całe miasto wogóle, a carskich sług w szczególności, to chodź ze mną na świeże powietrze, musimy coś zjeść i wypić po tak mile spędzonej nocy.

Ale na Antka napadła znowu pasya, która rosła w miarę rozżalania się własną mową.

— Nie mogę wyjść na miasto — odburknął gniewnie — ci nikczemnicy nietylko że podeptali wszystkie moje prawa ludzkie, pozbawili snu i spokoju, ale jeszcze zdenerwowali mnie na tyle, że wszyscy na ulicy patrzyliby na mnie jak na dziwoląga. Żeby już raz tych Jezuitów przeklętych ziemia pożarła! Wpadają łotry w nocy. wyciągają z łóżka, poniewierają wszelkiem prawem i słusznością...

— Dobrze, dobrze, — przerwał mu Wojtek, który wiedział. że kiedy Antek wpadnie w ferwor, może przegadać cały dzień, coraz bardziej się tylko rozpalając — ale ja muszę jeść i ty musisz jeść. Przyniosę więc cokolwiek z miasta.

To mówiąc wypadł na schody i poleciał. Po chwili wrócił z flaszeczką wódki, chlebem i kiełbasą. Sądził, że wódka może uspokoi Antka.

— W Twoje ręce! — zawołał, nalewając kieliszek.

— O. nie! — bronił się Antek — ci łajdacy pozbawili mię nawet możności przyjmowania pokarmów. Widzisz, jak jestem wzburzony! Ach łotry! Ach niegodziwi! Oni nie uznają ani...

— Jakto? — przerwał mu Wojtek — nie chcesz wypić na zgubę jezuitom? Nigdy bym się po Tobie tego nie spodziewał.

— A no, kiedy na zgubę, to wypiję. Niechże ich zaraza wydusi! — zawołał, wychylając spory kielich.

— Na pohybel im! — zawtórował Wojtek.

Wypity kieliszek jakoś znacznie wybielił czarne kolory, w których Antkowi przedstawiał się świat cały. Wypili jeszcze raz na pohybel, po czem zjawił się nawet apetyt, odebrany przez niecnych jezuitów. W ten sposób podreperowali sobie i siły i humory.

— A teraz jazda na majówkę! — rzekł Wojtek — Nie możemy przecież dzisiaj siedzieć w domu, a tembardziej iść do roboty.

— O, nie! — bronił się Antek — ci nikczemnicy tak mię rozstroili, że przesiedzę cały dzień w domu.

— Jakto! — oburzył się Wojtek — toż dzisiaj jest pierwszy maja, nasze święto robotnicze! Czyż nie wiesz tego, że obchodem tego święta mamy zamanifestować, że jesteśmy wrogami wszelkiej podłości i ucisku! Jeżeli więc chcesz, to zostań sobie w domu. Zrobisz tem wielką przyjemność jezuitom. A może przy tem i koledzy posądzą Cię o tchórzostwo.

— Kiedy tak, to idę. Już ja im pokażę, co o nich myślę! Na pohybel im!

— Na pohybel!

Wypili jeszcze po kieliszku i wyszli. W bramie Antek stanął, jak wryty.

— Patrz no! — zawołał — toż to idzie ten stary szpieg, co się podpisał na moim protokóle. Wszyscy poszli, a ten szubrawiec pozostał, by szpiegować.

— Oj ty, fujaro! — zaśmiał się Wojtek — to nie żaden szpicel, ale gospodarz kamienicy, majster tapicerski, który świeżo powrócił z prowincyi. Tylko taki odludek, jak ty, może o tem nie wiedzieć. Zaraz z nim pogadam.

— Dzień dobry, panie Walenty! Jakże się noc przespało?

— Niech mnie Bóg zachowa nadal od takich nocy! — odrzekł zapytany żałośnie — Zbudzono mię ze snu, kazano się ubierać... Już myślałem, że do cytadeli zabiorą! Nie mogłem znaleść ciepłych kalesonów, zaziębiłem się... A co tam na górze się działo, niech łaska Boska broni! Cud prawdziwy, żem pozostał żywy. Żołądek mi się popsuł z przeziębienia, muszę biedz. Kara Boska, kara Boska!... To rzekłszy staruszek czemprędzej pobiegł dalej.

— Widzisz teraz, że to nie szpieg! — zawołał śmiejąc się Wojtek.

— Prawda, ale inni mogą nas szpiegować. Czy dobrze robimy, że idziemy? Wszakże tylko co robiono u nas rewizye.

— Nie bój się! Mają oni dzisiaj tyle roboty, że z pewnością nas chudopachołków pozostawią w spokoju. Ty byś rad tylko wynaleść jakiś pretekst do pozostania w domu.

Tak rozmawiając wyszli na ulicę.

(Dokończenie nastąpi.)

